

Ostatnia przygoda

W komnacie zgromadzili się już wszyscy. Szczelnie pozastłaniane okna nie przepuszczały żadnego słonecznego promienia. Co sprytniejsi i mniej ważni ustawili się przy drzwiach, by gdy tylko nadarzy się okazja dać nogę i pobiec nad rzekę. Niestety wszyscy bliscy musieli zgromadzić się przy łożu chorego, pocąc się przy ciepłe świece i dusząc się oparami kadzideł, którymi ksiądz tak usilnie „oczyszczał” umierającego. W sumie było to już lepsze niż smród starego ciała, które od miesiący nie wstawało z miejsca. Co bardziej niecierpliwe dzieci pytały matki, kiedy dziadek już umrze, żeby znów pozwolono im się bawić. Starzec, gdy tylko to słyszał, rzeził głośniejsz, charczał i pluł na swoją brodę, coraz mocniej przyciskając łuk i strzały do swojej piersi, jakby miały mu one przywrócić utraconą młodość.

Zawsze uważał, że zginie w boju, walcząc za jakąś słuszną sprawę. Niestety jedyne co stracił na tych przygodach to zdrowie i majątek, bądź co bądź nie swój, ale zawsze, życie natomiast uparcie go się trzymało. Żałobników sproszono przeszło tydzień temu, gdy mało wypluł płuc podczas kaszlu. Wszyscy spodziewali się rychłego zgonu i wyprawili już trzy stypy w nadziei, że już nadeszła ta chwila, a on jak na złość żył. Śmierć nie miała się Robin Hooda nawet, gdy zestarzał się, zgrzybiał i prawie oślepl.

Wokół niego zgromadziła się cała kochająca, choć już mocno zniecierpliwiona rodzina i najbliżsi przyjaciele, którzy objadali dwór Locksley'ów z zapasów. Sam braciszek Tuck potrafił zjeść i wypić za dziesięciu chłopów, przez co teraz był tak gruby, że nie stał a siedział przy łożu chorego, bo nie był w stanie utrzymać swojego brzucha zbyt długo w górze. U wezłowia łoża stała pogrążona w smutku żona Robina – lady Marion, która zestarzała się brzydko. Nie mogąc pogodzić się z przemijającą urodą uparcie nadużywała pachnideł, różów i pudrów oraz przepuściła małą fortunę na suknie, które zupełnie nie przystały kobiecie w jej wieku. Dalej stały jej dzieci, tylko niektóre jakoś dziwnie przypominały bardziej Małego Johna. Ba nawet niektóre z jej wnucząt były do niego łudzaco podobne.

Nagle żalobną ciszę przerwał skrzekliwy krzyk:

– Locksley! Ty stary tchórze! Myślisz, że pozwolę ci tak po prostu umrzeć! Wyłaż stamtąd i walcz!

To stary szeryf Nottingham zjawił się pod oknem. Wiek już dawno pomieszał zmysły i osłabił pamięć tak, że ledwo poznawał swoje dzieci, ale za to nie zapomniał swych starć z Robinem. Jakiś czas temu odebrało mu władzę w nogach więc sporządzono mu krzesło na kołach ciągnięte przez dwa kozły. Siedział na nim siwiuteńki i wygrażał laską.

Locksley jakby nagle odzyskał siły. W samej koszuli, potykając się o sprzęty i ludzi, wybiegł na spotkanie swego odwiecznego wroga. Nikt go nie powstrzymywał w nadziei, że

Ostatnia przygoda

dziadyga nie wytrzyma z wysiłku i emocji w końcu opuści ten padół, ale w Robina to nie obchodziło. Skoro śmierć nie chciała przyjść do niego, to on przyjdzie do śmierci i to będzie jego ostatnia przygoda. Ale między czasie, porachuje temu łotrowi Nottinghamowi kości, za to że zakłócił mu jego własny pogrzeb.

Beata Mróz